Nr. 249. We Lwowie — Środa dnia 8 Października 1902. Rok XLII.

Redaktor naczelny
Dr. ALEKSANDER VOGEL.
Biura redakcyi: ul. Kopernika l. 7, I. piętro otwarte od godz. 10 rano do godz. 1 w połud.
Biura administracyi: ul. Kopernika l. 7, parter (sklep), otwarte od godz. 9 rano do 7 wieczorem bez przerwy.
Przedpłata na „Gazetę Narodową“ wynosi:

	we Lwowie:	na prowincyi:	za granicą:
miesięcznie	1 złr.	1 złr. 25 ct.	
kwartalnie	3 „	3 „ 75 „	5 złr. 25 ct.
półrocznie	6 „	7 „ 50 „	10 „ 50 „

Wraz z **„Tygodnikiem mód i powieści“**
kwartalnie we Lwowie 4 złr. 20 ct.
„ na prowincyi 4 „ 95 „
We Lwowie za odnoszenie do domu dopłaca się 20 ct. miesięcznie.
Numer kosztuje 4 ct.

GAZETA NARODOWA

wychodzi o godzinie 6-tej wieczorem.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ
przyjmują: **we Lwowie:** Administracya „Gazety Narodowej“ ulica Kopernika 7 i biuro Sokołowskie, Pasaż Hausmana; **w Paryżu:** C. Adam Cibrowski 37 rue de Varenne Paris; **we Wiedniu:** Haasenstein & Vogler (Otto Mass) Wahlfischgasse 10 — Rudolf Mosse Seilerstädte 2 — A. Oppelik Grünangergasse 12 — M. Dukes Nachf.: Max. Augenfeld & Emeric Lessner I. Wollzeile Nr. 9. Schallek Wollzeile 11 i J. Danneberg, II. Praterstrasse 33; **w Budapeszcie:** Juliusz Leopold VII, Elisabethring 54; **w Frankfurcie:** n. M. Haasenstein & Vogler i G. L. Daube & Comp.; **w Warszawie:** Reichmann & Freudler.

CENA OGŁOSZEŃ: Ogłoszenia zwyczajne na jednoszpaltowy wiersz drobnym drukiem lub jego miejsce 10 ct. — **Nadesłane** za wiersz lub jego miejsce 30 ct. — **Głosy publiczności** za wiersz lub jego miejsce 50 ct. — **Prywatna korespondencya** 3 ct. od wyrazu.

PRZESILENIE.

Lwów 7 października.

Rokowania ugodowe pomiędzy rządami austryackim a węgierskim weszły w ostatnich czasach widocznie w okres wielkiego naprężenia... Do publicznej wiadomości dochodzą tylko szczegóły zewnętrzne konferencyj ministeryalnych: którym pociągiem przybyli węgierscy ministrowie do Wiednia, albo też austryaccy do Budapesztu; kiedy i gdzie zeszli się z sobą na naradę; jak długo konferencye trwały; czy i kiedy dr. Körber albo Szell byli na audyencyi u cesarza itd. Chociaż jednak wiedeńskie dzienniki w przeszłym tygodniu wypisywały całe szpalty o przebiegu rokowań w sprawie odnowienia ugody cłowo-handlowej z Węgrami, to jednak jasnem jest jak na dłoni, że są to tylko elaborata redakcyjne, fabrykowane na podstawie informacyj, otrzymanych dawniej z fachowych biur ministeryalnych o wnioskach i projektach rządu austryackiego dotyczących pewnych szczegółów ugody, lecz wszystko co zawierają owe sprawozdania o aktualnej stronie układów, są tylko domysły, przypuszczenia.

Lecz już i owe zewnętrzne szczegóły faktyczne o przebiegu rokowań, o których donoszą depesze rządowego biura korespondencyjnego, stwierdzają niewątpliwie, iż w przebiegu rokowań ministeryalnych o odnowienie ugody z Węgrami od środy zeszłego tygodnia zaszło coś niezwykłego, coś w rodzaju przesilenia. Bo zważmy tylko, co się stało: układy prowadzone we Wiedniu przez cały tydzień raptem przerywają się; obaj premierzy idą do cesarza z raportem. Po audyencyi u cesarza mówią z sobą pół godziny i węgierscy ministrowie wraz z towarzyszącymi im referentami fachowymi opuszczają Wiedeń. W sobotę wieczorem jadą austryaccy ministrowie, po długich naradach między sobą, znowu do Budapesztu. Niedługo tam bawili, bo już w poniedziałek byli z powrotem we Wiedniu — na to, aby znowu gorączkowo radzić i radzić między sobą.

Tymczasem z Budapesztu przychodzą bardzo sprzeczne z sobą wiadomości o przebiegu i wynikach pobytu tam austryackich ministrów. Widocznem jest, że z układami nie poszło gładko, skoro ministrowie tak prędko wrócili do Wiednia. Więc cóż?...

Na to pytanie znowu pozytywnej odpowiedzi nie ma. Są tylko pogłoski, oparte na domysłach. Jedne pogłoski mówią o podaniu się do dymisyi węgierskich ministrów, inne o bliskiej dymisyi gabinetu dr. Koerbera, inne wreszcie zapowiadają przesilenia ministeryalne i w Austryi i we Węgrzech!

Opinia publiczna zanadto jest podrażnioną osłoniętem dotąd tajemnicą ale widocznem przesileniem, w jakiem znajdują się teraz układy z Węgrami, ażeby istotny stan rzeczy można było dłużej ukrywać. Dziś-jutro spodziewać się należy uchylenia zasłony.

Nie przesądzając jednak, co się okaże po uchyleniu tajemnicy, pokrywającej dotąd istotę nieporozumień, na których utknęły w ostatniej chwili układy pomiędzy ministrami austryackimi i węgierskimi — wolno rozglądnąć się w około na tło polityczne, na jakiem obecnie odnowienie cłowo handlowe z Węgrami musiałoby być dokonanem. Jeżeli bowiem zdamy sobie sprawę trzeźwo i przedmiotowo z obecnej sytuacyi wewnętrznej w Austryi, ułatwi się nam przez to zrozumienie przyczyn przesilenia, przed którem widocznie teraz stoimy, znakomicie.

Mianowicie — to nie ulega wątpliwości, że powody utknięcia układów nie są wyłącznie ekonomiczne, ale przeważnie polityczne. Bo zważmy tylko niektóre daty kalendarza politycznego. Oto 15 bm. ma zgromadzić się sejm węgierski na jesienną sesyę. Zaraz na pierwszem posiedzeniu posypią się niewątpliwie interpelacye domagające się wyjaśnień co do stanu układów o odnowienie ugody z Austryą. Rząd węgierski musi więc napierać o to, ażeby one przed tym terminem doprowadzone zostały do jakiejś konkluzyi. Z drugiej znów strony i dr. Koerber nie będzie mógł dłużej zwlekać zwołania rady państwa, skoro sejm węgierski będzie zgromadzony i z całą swobodą będzie o dalszych losach połączenia z Austryą rozprawiał. Tymczasem najnowsze enuncyacye najwybitniejszych polityków czeskich dra Pacaka i dra Kramarza, ogłoszone właśnie przed kilku dniami, wskazują na to w sposób nie dopuszczający żadnej wątpliwości, że jeżeli Czesi nie otrzymają teraz dopuszczenia czeskiej mowy do wewnętrznego urzędowania władz rządowych w Czechach, to nie ma po co zwoływać parlamentu. Zwołany, będzie on bezzwłocznie przez Czechów rozbity. Ale co znów począć z Niemcami, którzy o żadnych ustępstwach politycznych dla Czechów słyszeć nie chcą?...

Ten stan rzeczy zniewolił jak się zdaje dra Körbera do postawienia ministrom węgierskim pytania, czy, i w jaki sposób nie możnaby prolongować ugody cłowo-handlowej w drodze pozaparlamentarnej, jeżeliby nie udało się przeprowadzić jej parlamentarnie?

Węgry mają jednakowoż prawo i obowiązek zapytać nawzajem, z kim właściwie ma być ugoda zawieraną: czy z prawowitym rządem konstytucyjnym, a więc opartym na parlamencie, albo też z rządem nieobliczalnym, który miałby dopiero wyjść z zamachu stanu?

Przed takim dylemmatem trudnym stoi teraz dr. Körber, i w tem istota tajemnicy, jaka obecnie otacza widoczne na zewnątrz przesilenie w rokowaniach z Węgrami.

My powtarzamy ponownie, cośmy niejednokrotnie, pisząc o trudnościach politycznych, jakie zachodzą w rokowaniach o odnowienie ekonomicznej ugody z Węgrami zaznaczali, iż dla rządu dra Koerbera nie ma innego wyjścia, jak nie słuchać biurokratów-centralistów, którzy pchają go na oślep do zamachu stanu, ale zwołać parlament i jemu lojalnie i otwarcie stan rzeczy przedłożyć.

W parlamencie znajdzie się jeszcze dość żywiołów uczciwych i rozumnych — po prawej i po lewej stronie Izby, które do awantur z zamachem stanu dopuścić nie zechcą, i przecież znajdą ścieżkę do pokojowego wyjścia z obecnych trudności. A jeżeli zaszłoby nawet coś najgorszego, czego spodziewać się można, t. j. że parlament nie dorósłby zadaniu swojemu, to i ówczas rząd dra Körbera stanąłby w obec historyi wolnym od odpowiedzialności za nieobliczalne następstwa nieudolności parlamentu.

Za parlament, który nie umiałby zdobyć się na nic lepszego, jak tylko na samobójstwo, nie byłby odpowiedzialnym rząd, ale sam parlament.

Znajdujemy się wobec przesilenia, w którem nie rozchodzi się o to, czy ten lub inny pan ma nadal dzierżyć tekę ministeryalną, ale o rozstrzygnięcie dziejowego problematu bytu Austryi. Rozchodzi się o to, czy Austrya ma być rozbitą dla uporu Niemców-centralistów i ma stanąć otworem dla Prus, czy też ma organicznie wzmocnić się przez sprawiedliwe i roztropne załatwienie swoich trudności wewnętrznych, które kompromitują i osłabiają jej mocarstwowe stanowisko.

To pytanie należy przedłożyć parlamentowi. Pan Stibral jego nie rozwiąże!

Dziennik Poznański, który dotąd w sprawie projektu wiecu narodowego zachowywał wyczekujące stanowisko, oświadcza obecnie, że wiec ten jest wodą na młyn hakatystów, co udowadnia wyciągami z *Berliner Tageblattu*, i dodaje: „Coraz więcej wyrabia się u nas przekonanie, że dla nas cały wiec jest wielce nie na czasie“.

Żydzi o asemityzmie.

W tygodniku *General Anzeiger für die gesammten Interessen des Judenthums* utworzył sobie żydowizm nowy organ dla popierania swoich celów.

Wydaje go dr. Moses, ten sam, który na niedawnym powszechnym kongresie syonistów w Mannheimie twarcie odsłonił, dlaczego właśnie zamierzają syoniści założyć w Palestynie osobne państwo żydowskie. Oto byłaby wtenczas dyplomacya żydowska, byliby dyplomatyczni przedstawiciele żydów u wszystkich dworów, i żydzi tą furtką dostaliby się urzędowo do tych kół, które są dotychczas przed nimi zamknięte faktycznie. Swoją drogą jakie może pół miliona żydów bytowałoby w państwie żydowskiem, reszta zaś prowadziłaby jak dotąd swój wiadomy proceder po całym świecie z tem większą dosadnością.

Dr. Moses widzi atoli, że pomysł ów pozostanie na zawsze poronionym, i w numerze 3. wspomnianego organu uderza z całą zaciekłością semicką na asemityzm. Wyrazu tego on nie wynalazł — stworzył go śp. nieodżałowany ks. dr. Maryan Morawski T. J. w artykułach, które w *Gazecie Narodowej* umieścił. Nowy organ żydowski poucza, że asemityzm, to umyślne unikanie zetknięcia się z żydami, czyli „dążność kół szerokich do odepchnięcia żywiołu żydowskiego od swojej sfery życia, od swoich powołań i kół towarzyskich“. I ten to asemityzm uważają dr. Moses i jego poplecznicy za „jeszcze niebezpieczniejszy od antysemityzmu“.

Oburzają się oni, że „istnieje odtrącająca żywioł żydowski warstwa społeczeństwa, która na zewnątrz żydom wszelkie prawa przyznaje, ale w praktyce niweczy wszelką socyalną i towarzyską łączność z żydami“. A zatem czują żydzi wyraźnie, że się nie chce ich towarzystwa, ale zamiast badać, jakie to powody ten nawet w kołach nie wybitnie antysemickich wstręt do żydów wytłumaczyć mogą, postępują syoniści jak owi domokrążcy żydowscy, którzy wyrzuceni z bramy, przez tylną wciskają się furtę, zachwalając swój towar.

Dr. Moses i jego poplecznicy zachwalają tedy swój towar, mianowicie rzekome zalety rasy żydowskiej, spekulując na śmieszną trwogę pewnych ludzi, obawiających się, aby ich za „nie dość modernistycznych“, za „nie dość postępowych“ nie poczytywano. Sądzą owi panowie, że upartością swoją wcisną się kiedyś przecie w te koła, które w należytem oddaleniu od żydów się trzymają.

Twierdzi przeto ów artykuł, że źródłem asemityzmu jest pewien atawistyczny wstręt do nowych idei; i następnie z zdumiewającą czelnością wywodzi, iż to właśnie żydzi z całym ogniem propagują nowe wielkie idee — tak np. nowy wielki rozkwit literatury niezmiernie wiele ma żydom do zawdzięczenia. We wszystkich nowych dążeniach jest udział tak jak decydującym na polu sztuki jak i umiejętności. Kto więc nic nie chce znać o żydowizmie, ten walczy właściwie nie przeciw żywiołowi żydowskiemu, lecz przeciw zasadzie postępu“.

Otóż zabawnem jest, że autor artykułu radzi żydom, aby w swojej walce „za świat modernistyczny“ unikali pozoru walki geszeftowej — „albowiem zachodzi obawa, iżby wówczas jasno zmiarkowano, że żydowizm tylko dlatego walczy za idee modernistyczne, ponieważ w tem własne powodzenie nie społeczne upatruje“. — I obawa to słuszna, przypatrzywszy się bowiem tej walce, wnet obaczymy, że we wszystkiem, gdzie Izrael fanatycznie walczy, chodzi o tendencye destrukcyjne. Wszelako nadewszystko wypada przytoczyć zakończenie artykułu:

„Byłby na razie jeszcze jeden środek, mianowicie, aby się żydowizm w walce swojej przeciw asemityzmowi zespolił z postępowo myślącemi odłamami innowierczemi ludności. Ale tu występuje na jaw rzecz dziwna, że i te koła chorują na przypadłości asemickie. Stronnictwa lewicy występują wprawdzie otwarcie za równouprawnieniem żydów, ale też bardzo często dają zły przykład, pielęgnując po wszelkiej formie asemityzm. Niezmiernie przeważna część żydów wyborcza stoi po ich stronie, ale zazwyczaj nie odważają się stawiać przy wyborach odpowiedniego kandydata żyda, obawiając się stanąć w poprzek asemickim skłonnościom swoich wyborców. W rajchstagu, o ile wiem, nie zasiada ani jeden żyd barwy wolnomyślnej, w sejmie pruskim zasiada ich trzech.

„Socyaliści są, pod tym względem wspaniałomyślniejsi, jakkolwiek i to stronnictwo jest w gruncie serca asemickiem, i wielu socyalistów nawet się nie tai ze swym asemityzmem. Socyaliści dopuścili pół tuzina żydów do swojej frakcyi, ale tych uważa stronnictwo oficyalnie za dysydentów, i rzecz to powszechnie wiadoma, że karyera w obozie socyalistycznym jest dla potomków Izraela, daleko więcej ciernistą, niż dla aryjczyków.

„Jeżeli przeto żydowizm ma zwalczać asemityzm, tego groźniejszego niż antysemityzm przeciwnika, wolne utworzyć tory dla inteligencyi żydowskiej, musi zacząć od swego najbliższego sąsiedztwa — musi w najoświeceńszej części ludności, w przedstawicielach idei postępowych, wywołać zrozumienie, że to oni są przedewszystkiem powołani do zaniechania nieprzyzwoitej polityki asemityzmu. Co jeżeli się uda, to już nie trudno będzie żydom, nie troszcząc się o ukryte uprzedzenia i atawizmy, nietylko stworzyć swoją arystokracyę, ale także zdobyć jej to stanowisko, które się jej na społecznej drabinie państwa należy“.

Piękny to obraz przyszłości: żydzi arystokratami w państwie — dopowiada pewien konserwatywny dziennik berliński — komentarza do tej fantazyi żydowskiej chyba nie potrzeba.

Zakłócona przyjaźń.

Od roku 1867 nie było w Europie, a bodaj i na całym świecie, serdeczniejszej przyjaźni politycznej, niż niemiecko-węgierska. Bitwa pod Sadową, która wyniosła Prusy do rzędu mocarstw pierwszorzędnych, a złamała przewagę Austryi, pozwoliła Węgrom urzeczywistnić swe marzenia z czasów Kossutowskich i zdobyć, jeżeli nie zupełną niezawisłość polityczną, to przynajmniej byt państwowy i najrozleglejszy samorząd wewnętrzny. Zapewne, że Prusacy nie myśleli o interesach węgierskich w r. 1866, ale samą siłą swego zwycięstwa zdobyli wdzięczność i przyjaźń Madziarów. Przyjaźń ta została odwzajemnioną. W Peszcie powiedziano sobie, że najpewniejszą obroną przed centralizmem austryackim jest sprzymierzenie się ze zwycięzcą z pod Sadowy. W Berlinie znów zrozumiano, że najłatwiej uchronić się od odwetu przez porozumienie się z Węgrami, którym poważne stanowisko w przekształconej monarchii Habsburgów zapewnia wielkie wpływy także w polityce zagranicznej państwa. Wynikiem tej obustronnej przyjaźni i potrzeby wzajemnego popierania się było przymierze, zawarte przez Bismarka i Andrassego i przekształcone później, przez przystąpienie Włoch, na trójprzymierze.

Cokolwiekbądź można mówić o sile militarnej nowego cesarstwa niemieckiego, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zawdzięcza ono swe potężne stanowisko w stosunkach europejskich i wszechświatowych w znacznej części sojuszowi z Austryą i Włochami. Dla Niemiec więc utrzymanie tych sojuszów jest rzeczą pierwszorzędnego znaczenia. Dla Węgrów nawzajem miało ono wielką wartość, dopóki istniał choćby tylko cień niebezpieczeństwa, że mogą wrócić czasy centralizmu, i dopóki chodziło przedewszystkiem o zupełne podporządkowanie ludów słowiańskich, należących do korony św. Stefana. Dlatego też byli oni od samego początku i są poniekąd do tej chwili najgorliwszymi zwolennikami trójprzymierza, i ich wpływom w znacznej części zawdzięczają Niemcy, że sojusz ten w r. b. został odnowiony. Wobec ogólnej niepewności i szukania nowych związków politycznych, stanowczy protest Węgrów wystarczyłby zupełnie, aby zapobiedz przedłużeniu sojuszu.

W czasach ostatnich jednak stosunek między Niemcami i Węgrami zaczyna pogorszać się coraz więcej. Trudno z daleka sądzić, czy jest to następstwem radykalizmu narodowego Madziarów, czy przeniesienia prądów wszechniemieckich na Węgry, lub też oba te czynniki składają się na to, dość, że Węgrzy coraz energiczniej występują przeciw Niemcom, mieszkającym w tej połowie monarchii, a Niemcy nawzajem skarżą się na ucisk, na ograniczanie swoich praw, podnoszą gwałtowne protesty w prasie i parlamencie, i znajdują w Berlinie gorliwych obrońców.

W dniach ostatnich była z tego powodu niezwykle burzliwa polemika między pismami węgierskiemi i pruskiemi. Węgrzy skazali na więzienie dwóch agitatorów wszechniemieckich. Prusacy zasypali ich gradem zarzutów, wyzwisk i pogróżek, a prasa węgierska odpowiedziała z wyniosłością i wielką pewnością siebie, że Prusacy mają pilnować spraw swoich, a nie mieszać się do polityki wewnętrznej obcego kraju. Węgrzy nie robili rządowi pruskiemu zarzutu z jego polityki względem Polaków w Poznańskiem, nie troszczyli się o wypadki wrzesińskie; ale też nie pozwolą, aby Niemcy robili im przepisy, wyrażali swoje niezadowolenie z ich polityki wewnętrznej i popierali przez to ruch wszechniemiecki w Siedmiogrodzie.

Wzmianka o Wrześni w odpowiedzi węgierskiej widocznie odebrała Prusakom chęć do dalszej polemiki. Pisma berlińskie zamilkły, i na razie przynajmniej dyskusyę przerwano. Zapewne jednak epizod ten nie przyczyni się do wzmocnienia sympatyi niemieckich dla długoletnich sprzymierzeńców madziarskich.

Z drugiej strony zaś, z namiętnego a zgodnego występywania Węgrów widać, że poza Litawą znaleziono nareszcie szczegół niemiły i niepożądany w stosunkach z państwem Hohenzollernów. Ludność tego państwa zaczyna coraz wyraźniej występować w roli powołanego obrońcy Niemców zagranicznych i mniema, że może pozwalać sobie tak samo na stawanie w obronie Niemców węgierskich, jak na utrzymywanie szkół niemieckich w krajach koronnych Przedlitawii, Rumunii lub Turcyi.

Co się dzieje w Austryi, Rumunii lub Turcyi, to nie interesuje wcale Węgrów; ale próby wmieszania się Niemców do ich spraw wewnętrznych oburzają ich do żywego i zwracają ich uwagę na niebezpieczeństwo grożące ze strony niemieckiej, a świadomość, że niebezpieczeństwo takie istnieje i kiedyś może stać się groźnem, osłabia bardzo sympatye do starego przyjaciela nad Spreą.

45

ANATOL KRZYŻANOWSKI.

OGNIWA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy.)

— Niech Bóg broni, Doro. Troska o przyszłość dziecka daje się doskonale połączyć z poczuciem i spełnieniem obowiązku obywatelskiego. Szczęście, jakiem syn mój jest dla mnie, powinno i innych promieniami swemi ogrzewać, w przeciwnym razie, czyżbym go w atmosferze egoizmu i filisterstwa zdołała na pociechę i dumę swą wychować?

Czarne oczy panny Dory zmatowały się, tracąc blask swój stopniowo, Cała ta dysertacya zbyt długo dla niej trwała. Inteligencya jej i sławiony sprycik salonowy nie zwykły były sięgać na tak daleką metę. Zresztą w dzisiejszym *Kuryerze* nie czytała nic o tem. Skąd ci dwoje chorowali na równie „ciężki pedantyzm“?

Hrabia, w którego palcach kreda szybko się poruszała, mówił tymczasem dalej:

— Niestety, pojedyncze usiłowania, przy najlepszych nawet chęciach, stają się często bezowocne i niewiele tu zdziałać mogą. Tylko akcya zbiorowa byłaby skuteczną.

— W jakiż sposób możnaby ją zorganizować, Alfredzie.

— W jeden jedyny. Wśród ludzi dobrej woli, tych, którzy zapisami swemi składają stopniowo miliony, martwe nieraz w rękach filantropii, powinnyby znaleść się umysły, pojmujące że ratowanie dziadów, bab i włóczęgów nie jest jedynem zadaniem dobroczynnem w społeczeństwie.

Panna Dora ożywiła się. Z wyrazem filantropia poczuła w powietrzu przedsmak rautów, balów i przedstawień, zwykle na cel jej urządzanych. Tu była w swym żywiole; taką działalność pojmowała nareszcie.

— Rozumiem — wtrąciła — naprzykład przedstawienia amatorskie na rzecz...

— Nie, pani, — przerwał poważnie. — Są cele, których nie znieważa się ofiarą jałmużny; są ludzie, tak dumni, że umierając z nędzy, jeszcze nie przyjęliby wsparcia. Niekiedy, przed królewską powagą ubóstwa, przed jego szlachetnem dostojeństwem i snob nawet pochylić musi głowę.

W głosie Halińskiego lekceważenie drgnęło. Umysł jednak panny Dory zbyt był gruboskórnym, aby je pojąć i odczuć?

— A więc? — pytała.

— A więc, skoro rzecz taka niemożliwą jest, jako instytucya rządowa, powinien, z zapisów prywatnych, na ten cel składanych, zostać ufundowany rodzaj wieczystej, narodowej „Akademii literatury i sztuki“, która oceniwszy samoistnie, bez niczyjej prośby o to, pierwsze prace danego autora czy malarza i znalazłszy w nich talent bujny, a rzeczywisty, wyznaczałaby mu stałą pensyę dożywotnią, zabezpieczającą przyzwoite środki do życia, a tem samem możność zupełnego oddania się pracy twórczej, bez uciążliwej, często zaś upokarzającej gonitwy za zarobkiem, za zdobyciem chleba dla siebie i swoich.

— Co za projekt szlachetny — zapałała się Ira.

— Pensya taka — ciągnął myślą swoją pochłonięty Haliński, jako wyznaczona „za zasługi“, przez instytucyę społecznej doniosłości, nie upokarzałaby nikogo. Przeciwnie, ułatwiając pracę owocną a ukochaną, byłaby zaszczytem i podnietą zarazem do dalszych wysiłków ducha, do dążenia ku ideałom piękna, prawdy i dobra, które, stanowiąc najwyższe moralne bogactwo narodów, powinnyby uwieńczyć nareszcie tylowiekowy wzlot ludzkości ku słońcu.

Źrenice Iry wzruszeniem promieniały.

— Szlachetny! Poznaję cię, jak zawsze. Oby się projekt twój ziścił najprędzej!

Uśmiechnął się do niej.

— Ludzie trudniejsze już utopie wspólnemi siłami wprowadzali. Tu zresztą, powinienby nami kierować wprost dobrze zrozumiany interes własny. Wszak chodzi jedynie o oszczędzenie społeczeństwu i tak ubogiemu, marnujących się corocznie, najlepszych i najszlachetniejszych sił jego.

Tego już było za wiele dla ptasiego mózgu „sprytnej“ panny. Przywykła do ciągłego podziwu, nie mogła znieść, że hrabia zapominał widocznie o jej obecności. Postanowiła więc zadziwić go głębokością praktycznej swej uwagi.

— Zanim powstanie akademia taka — mówiła, mogliby tymczasem ludzie „z towarzystwa“ nie odbierać chleba tym biedakom i nie robić im konkurencyi.

— Ludzie z towarzystwa, jak ich pani raczy nazywać, nie pozbawiają nikogo zarobku gdyż malują i piszą nie dla zysków, lecz dla przyjemności, dla dostojeństwa, jakie im ta uszlachetniająca praca nadaje. Najlepszym tego dowodem, że wśród autorów współczesnych spotyka się sporą liczbę nietylko książąt krwi, lecz nawet głów ukoronowanych.

To zaimponowało nareszcie pannie Dorze, a zarazem ujawniwszy jej silniej wartość Halińskiego, kazało dążyć tem bardziej do zwrócenia na siebie wyłącznej jego uwagi.

Zerwawszy się przeto, stanęła przy stalugach.

— Co — zawołała — w przeciągu kwadransa, Ira, jak żywa?

Hrabia się roześmiał.

— Kontury tylko, bo nie chcę jej na razie męczyć pozowaniem.

— To będzie portret? Tak mały?

— Nie, pani. Główka jej tylko, jako studyum, któremu możnaby według woli, dać tytuł: „Poezya“, lub „Zamyślenie“. Ile razy sądzi, że nikt na nią nie zwraca uwagi, ma w oczach ten niepochwytny wyraz słodkiej zadumy, który bardzo pragnąłbym i odzwierciedlić tutaj.

— Podpatrywać tak tajniki duszy cudzej, to zdrada, Alfredzie.

— Nie cudzej, lecz twojej, a więc duszy siostrzanej — odparł ze spojrzeniem, pełnem niewysłowionej tkliwości.

Panna Dora kręcąc naiwnie główką, bacznie ich jednak obserwowała.

— A jakież? — pytała, pochylając się kokieteryjnie nad stalugami, robi na panu wrażenie moja głowa?

Hrabia wnet ton zmienił, patrząc zaś na nią bacznie — odparł z udaną powagą:

— Główki prześlicznie uczesanej.

— Takie określenie fryzyerskie, to impertynencya.

— Ach, pani nie chodzi o wygląd zewnętrzny, lecz o treść? Rzecz trudna do odgadnięcia. Skoro pani jednak każe...

(Ciąg dal. nast.)

Korespondencye.

Paryż 4 października.

(Sezon. — Kłopoty kupców. — Nieudała loterya zakończona maryażem. — Sprawa Bętkiewicza. — Święto sokole w Paryżu).

— Piękny ten nasz sezon tegoroczny! — narzekał pewien właściciel bazaru przy rue St. Honore. — Szkaradne powietrze, zima, bulwary puste, wszystko siedzi w domu; moje towary prochem przepadają, czeka mnie bankructwo. Co tu począć?

Kupiec myślał i myślał. W końcu przyszło mu do głowy postanowienie uszczuplenia personalu. W sklepie zatrudniał 8 subjektów i 30 panien.

— To bądź co bądź za dużo na taki nędzny sezon, połowa mi wystarczy!

Po obiedzie zwołał wszystkich subjektów, pomocników i panny i oznajmił im smutną nowinę, że jest zmuszony zredukować personal. Wiadomość ta spadła na biednych ludzi jak grom z jasnego nieba; wszystko stało milczące, skonsternowane.

Wreszcie jeden z subjektów zdobył się na odwagę i zapytał pryncypała:

— A któż z nas będzie oddalony?

— Nie powziąłem jeszcze postanowienia. Na wszelki sposób nie chciałbym być posądzony o stronniczość i dlatego niechaj los rozstrzyga co do tego, kogo zatrzymam, a kto musi gdzie indziej szukać zajęcia.

Szef kazał przynieść dwie urny: do jednej wrzucono kartki z nazwiskami subjektów, do drugiej z nazwiskami panien. Rachmistrzowi przypadła rola „chłopca loteryjnego". Najpierw wyciągnął sześć nazwisk z pierwszej urny: sześciu subjektów pozostało bez chleba. Przyszła kolej na panny sklepowe. Pierwsze wyszło nazwisko p. Luizy R. Zrazu dał się słyszeć szmer, potem łkania i głośny płacz. Kupiec zbladł i przygryzał wargi. Nieszczęsny los wybrał sobie na pierwszą ofiarę pannę Ludwikę, najpiękniejszą, najzgrabniejszą, najszykowniejszą ze wszystkich, najlepszą siłę sklepową, w której od kilku miesięcy kochał się w skrytości serca! Co z nią się stanie? Piękna a na bruk rzucona, na bruk nowożytnego Babilonu! Nie, tej siły nie chce, nie może utracić...

— Proszę się wstrzymać! — zawołał do rachmistrza, gdy ten sięgał do urny po dalszy los — nie chcę loteryi, to sposób zbyt krzywdzący moich współpracowników. Raczej zamknę i zlikwiduję interes. Panowie i panie! Dziś wieczorem wypłacę wszystkim trzymiesięczną pensyę. Jesteście wszyscy zwolnieni; mój bazar przestaje istnieć.

Do pięknej Luizy rzekł jednak po upływie godziny w tonie przyjacielskim:

— Pani wie, mile Louise, że jestem nieżonaty. Może się pani także domyśla, że ją kocham. Proszę mi pozwolić przyjść jutro do domu rodziców i prosić o jej rękę. Spieniężę interes i będziemy żyli z renty.

Dziewczę rozpromieniło się z radości i spuszczając oczka, rzekło do młodego kupca:

— Rodzice będą się czuli szczęśliwymi, gdy będą mogli przyjąć pana.

Subjekci i panny sklepowe otrzymali jeszcze tego samego wieczoru trzymiesięczną płacę z góry...

Pogrzeb nieszczęśliwego Henryka Bętkiewicza odbył się onegdaj przed południem. Przybyła rodzina z Warszawy i bardzo liczni członkowie kolonii polskiej. Podczas nabożeństwa żałobnego w kościele rozgrywały się okropne sceny; brat nieboszczyka Władysław nie posiadał się z rozpaczy, podobnie jak matka. Ojciec Nieciąglewicza zemdlał, gdy śpiewano „Dies irae"; musiano go wynieść do zakrystyi. Od rodziny, przyjaciół i świadków pojedynku złożono wieńce na trumnie śp. Henryka.

Opłakanym jest stan drugiego duellanta, młodego Nieciąglewicza, który pozostaje w więzieniu w Versailles. Wybladły, zamyślony, od czasu do czasu odchodzi od zmysłów. W więzieniu odbyła się bardzo przykra, bolesna scena. Na posłuchaniu spotkał się Nieciąglewicz z ojcem Bętkiewicza. Stary człowiek przygięty był we łzach; wówczas Nieciąglewicz rzucił mu się do nóg i wśród łkania błagał o przebaczenie. Ma on być tymi dniami wypuszczony na wolną stopę. Zwłoki młodej ofiary średniowiecznych praktyk honorowych będą przewiezione do Warszawy i złożone w grobach rodzinnych na Powązkach.

W wielkiej sali Japy, przy boulevard Voltaire, tutejszy Sokół czeski obchodził dwudziestolecie swego istnienia. Zwyczajem francuskim na fotelach prezydialnych zasiadali trzej prezesi honorowi tej uroczystości, mianowicie hon. prezydent związku gimnastyków francuskich, p. Sansboeuf, zastępca mera Paryża, radca Galli i rodak nasz p. Jan Styka.

Salę wypełniło doborowe grono: prócz Czechów wielu Francuzów i Polaków. Prócz programowych ćwiczeń jubileuszowych, za które junaków czeskich darzono gromem oklasków, odbyła się akademia i wygłoszono szereg mów podniosłych. P. Galli wskazywał na niebezpieczeństwo zalewu pangermanizmu, które zagraża zarówno Francuzom, jak i Słowianom.

W czasie bankietu, na który przybyli między innymi: Charles Normand, Le Roy, Marc Legrand, Avarou itd. — p. Sansboeuf wygłosił przemówienie, podniosłą mowę, w której sławił bohaterstwo i wytrwałość uciśnionych narodów: Czechów, Polaków, Alzatczyków i Boerów i życzył im rychłego doczekania się swobody i sprawiedliwości. Dzienniki tutejsze, między innymi *Patrie* i *Echo de Paris* podają obszerne opisy święta sokolego. *W. Koryatowicz.*

Londyn 1 października.

(Król Edward jako palacz tytoniu. — Zabawne anegdoty o nim. — Zwyczaje innych monarchów. — Kłopoty Tennysona. — Kipling. — Upodobania płci pięknej.)

Znany pisarz Anthony Relay ogłosił tymi dniami pracę o zwyczajach, guście i upodobaniach książąt, głów koronowanych i wybitnych ludzi. Oto, co pisze o zwolennikach tytoniu.

Król Edward jest namiętnym palaczem tytoniu. Z pomiędzy wytworów tej szlachetnej rośliny najbardziej przypadają mu do gustu cygara Havanna, specyalnie dla niego sporządzane, duże, silne.

Po ułatwieniu się z obowiązkami monarszymi, lub po obiedzie bierze się król natychmiast do cygar i oddaje się jedynie w obecności dam. Pewnego razu wybrał się Edward VII. na przechadzkę w okolice Sandringham. W tem zagasło mu cygaro. Chciał je naturalnie na nowo zapalić; szuka po wszystkich kieszeniach za zapałkami — nadaremnie. Co tu począć?

W pewnem oddaleniu ujrzał monarcha chatę wieśniaczą; wchodzi i prosi wieśniaczkę o zapałki. Kobieta, która natychmiast poznała dostojnego gościa, poczęła szukać za pudełkiem po wszystkich kątach. Na nieszczęście nie udało jej się znaleźć. Zakłopotana mówi królowi, że jej mąż wziął ze sobą w pole ostatnią paczkę zapałek. Król jednak po prostu sobie poradził; zrobił skrętkę z papieru, przyłożył do ognia na kominku i wyszedł zadowolony, wręczając kobiecie złotówkę z własnem popiersiem.

Innym razem król używał przejażdżki w okolicach Londynu. Na jednej z samotnych ulic ujrzał dwóch robotników, którzy odstąpili od roboty i rzucili się za jakimś małym przedmiotem, leżącym na ziemi. Po chwili zaczęli się szamotać. Król chcąc się dowiedzieć, o co się spierają, zatrzymał powóz i zapytał jednego z robotników, o co im się rozchodzi.

— Sire, znalazłem ogarek z cygara, który w kr. mość porzucił, a mój kolega chce mi ten kąsek odebrać — brzmiała odpowiedź.

Król uśmiechnął się i odjechał. Niebawem powrócił na to samo miejsce i wręczył każdemu z nich po pudle cygar. Zapewnieniu ich, że takich cygar nigdy jeszcze w życiu nie palili, można bez wahania uwierzyć.

Prócz wymienionego wszyscy panujący europejscy są zwolennikami palenia tytoniu. Cesarz austryacki Franciszek Józef palił dawniej namiętnie najsilniejsze cygara Virginia. Gdy mu lekarze ze względu na zdrowie odradzili palenia, począł używać stopniowo coraz łagodniejszych cygar; obecnie pali papierosy.

Cesarzowa Elżbieta nie mogła się obejść bez papierosów, których paliła po kilka tuzinów dziennie. Królowa portugalska pali najsilniejsze cygara Havannah. Wilhelm używa różnych cygar, a że lubi się we wszystkiem wyróżniać, kazał sobie sporządzać specyalne papierosy, które nazwał „Kaisercigarette". Papierosy te są 15 centymetrów długie, z czego połowa przypada na gilzy. Dla sułtana tureckiego uprawia się osobliwy gatunek tytoniu; jestto najdroższy gatunek tureckiego tytoniu. Sułtan nie lubi fajki ani nargili, najchętniej pali papierosy. Pomimo, że używanie tytoniu najpóźniej przedostało się do Azyi, znajdujemy pośród egzotycznych władców wielu bardzo namiętnych palaczy.

Cygara i papierosy używane przez cesarzów, królów i książąt mają poniekąd znaczenie dyplomatyczne. Z poza błękitnych chmur dymu tytoniowego wyłaniają się najpoważniejsze kwestye polityczne; wśród jego kłębów znajdują nieraz rozwikłanie najtrudniejsze problemy. Tytoń zaś używany przez poetów i artystów ma znamię fantastyczne. Pieśniarzowi, mistrzowi dźwięków, dłuta, pendzla przynosi ten narkotyk natchnienie, rozbudza i ożywia jego wyobraźnię. Mickiewicz, Chopin, Siemiradzki należeli do wielkich zwolenników tytoniu.

Niemałą rolę odgrywało cygaro w życiu poety-dworaka, Alfreda Tennysona. Angielski pieśniarz powrócił był właśnie z podróży do Włoch, gdy go jeden z przyjaciół powitał słowy:

— Jak spędziłeś czas zagranicą?

— Tak sobie; miernie.

— Wszakże widziałeś we Włoszech tyle skarbów sztuki — rzeczy lord zdziwiony, — nie czułeś się szczęśliwym, spędzając całe dnie w muzeach?

— Nie osobliwe — odpowiedział Tennyson.

— A dlaczegoż? Co ci stało na przeszkodzie?

— W muzeach nie wolno palić tytoniu — rzekł poeta niezadowolony.

Rudyard Kipling nie weźmie pióra do ręki, nie nałożywszy wprzód fajki i nie puściwszy kilka kłębów dymu. Na początku swej karyery literackiej był Kipling, podobnie jak wielu sławnych pisarzy, reporterem dziennikarskim. Pewnego razu wyprawił go szef-redaktor w podróż w charakterze sprawozdawcy. Po drodze wstąpił też do Marka Twaina, w którego pracowni musiał czekać przez kilka minut. Pierwsze, co wpadło w oczy, było kilka fajek i tytoń. Nigdy w życiu — jak zapewnia poeta — nie miał takiej chętki do kradzieży, jak w owej właśnie chwili. Na szczęście pożądliwość jego została wnet zaspokojoną. Nadszedł Twain z fajeczką w ustach; jako namiętny palacz pojmował, co to jest być zmuszonym obchodzić się bez tytoniu i podał gościowi przyrządy do palenia.

Ta wysoko ceniona roślina nie stanowi monopolu panów stworzenia, nie gardzi nią też i płeć piękna. Szczególniej pisarki i artystki w namiętności palenia nie ustępują kolegom rodzaju męskiego. Georges Sand nie wytrzymała ani godziny bez cygara; paliła najdroższe i najmocniejsze Havannah. Liszt poznał wielką pisarkę w chwili, gdy ćmiła ogromne cygaro. Róża Bonheur lubowała się w krótkiej fajeczce. Niemal wszystkie sławne artystki palą cygara lub papierosy.

Także w świecie dystyngowanym po śniadaniu lub obiedzie służba podaje cygara i cygaretki zarówno panom jak i damom. W Rosyi, Szwecyi i Danii palą kobiety nietylko w domu, ale i w lokalach publicznych. Najpiękniejsze seniority hiszpańskie jadąc powozem lub przechadzając się po Buen Retiro trzymają w różowych usteczkach zgrabne *spagnoletti*. U nas w Polsce nadobne panie i panienki coraz to częściej szukają przyjemności w paleniu. Najbardziej palenie papierosów przez płeć piękną rozpowszechniane jest w grodzie syrenim. *Jan Wołosyński.*

KRONIKA.

Lwów, dnia 7. Października 1902

Kalendarzyk.

We środę 8 października Brygidy wdowy. — Gr. kat. Eufrozyny. — Kal. słow. Wojsława.
Wschód słońca 6·16, zachód 5·18.

We czwartek 9 października Wincentego. — Gr. kat. Joanna Boh. — Kal. słow. Dogomost.
Wschód słońca 6·17, zachód 5·16.

W piątek 10 października Franciszka Borg. — Gr. kat. Kałystrata. — Kal. słow. Tomił.
Wschód słońca 6·18 zachód 5·14.

— **Przeniesienia.** Namiestnik przeniósł koncypistę namiestnictwa dr. Henryka Bołoz-Antoniewicza z Gorlic do Czortkowa i praktykanta konceptowego dr. Henryka Russockiego ze Lwowa do Brodów.

— **Rada szkolna krajowa** zamianowała: dra J. Pawłowskiego zastępcą nauczyciela w męskiem semin. naucz. w Stanisławowie, J. Bohosiewicza zast. naucz. w sem. naucz. w Krośnie, M. Pasterczyka i J. Smietanę naucz. star., E. Ziołowskiego naucz. mł. w Jaśle, T. Nieszczyńską naucz. star. w Suchej, J. Krzyżaka naucz. kier. w Rzeszotarach, P. Herasymowicza naucz. kier. w Żelschowie wielkim, E. Witoszyńską naucz. w Majdanie lipowieckim, J. Błażyńską nauczycielką w Majdanie.

Rada szkolna krajowa przeniosła: F. Zuzaka z Ropy do Jasienicy, J. Madejskiego z Tworkowej do Hecznarowic, H. Maszczykowską z Rokitnej do Wiszenki wielkiej, J. Czabana z Horodenki do Żydaczowa.

Kronika lwowska.

= **P. Namiestnik** zwiedził dziś Zakład dla nieuleczalnych i ozdrowieńców fundacyi małżonków Bilińskich, w którym obecnie jest 49 osób pomieszczonych, częścią płacących, częścią na koszt fundacyi. Namiestnik wyrażając dr. Gostyńskiemu swe uznanie, wypytywał się p. prezydenta, w jakiem stadyum znajduje się sprawa statutu dla tego tak pożytecznego, znacznym kosztem zbudowanego i obficie wyposażonego Zakładu, a zarazem podniósł potrzebę rychłego ukończenia pertraktacyj, zmierzających do wydania statutu dla Zakładu.

Dalej zwiedził p. namiestnik miejski zakład dla nienleczalnych i ozdrowieńców, znajdujący się na tym samym gruncie co poprzedni i zostający pod tym samym zarządem Sióstr Miłosierdzia, w którym zastano 142 osób pomieszczonych. Mimo tak znacznego przepełnienia pannje wszędzie czystość i porządek wzorowy, za co też p. namiestnik wyraził gorące uznanie przełożonej Sióstr Miłosierdzia.

Wracając z zakładów tych obejrzał namiestnik budnjącą się szkołę ludową na grodeckiem przedmieściu, która będzie większą od wszystkich dotychczasowych i będzie się tem odznaczać pod względem zdrowotnym, że znajdą w niej pomieszczenie łazienki dla dzieci szkolnych.

W końcu zwiedził namiestnik bezpłatną lecznicę czyli poliklinikę, jak teraz jej nazwa opiewa i wyraził podziękowanie dr. Tatarczuchowi i wszystkim lekarzom, którzy z całem poświęceniem zupełnie bezinteresownie ordynują w poliklinice i tem samem najuboższej warstwie ludności wyświadczają wielkie dobrodziejstwo.

= **Ślub** panny Ireny Bohussówny z p. Ludwikiem Hellerem, dyrektorem Filharmonii lwowskiej, odbędzie się we Lwowie, w sobotę, 11 bm., w kościele katedralnym.

= **Z Koła literacko artystycznego.** W sobotę d. 11 bm. o godz. 8 wieczorem odbędzie się w Kole nadzwyczajne walne zgromadzenie. Na porządku dziennym mianowanie członka honorowego. Po zgromadzeniu nastąpi pierwsze w nowym lokalu Koła (inauguracyjne) zebranie towarzyskie.

= **Socyalistyczny charakter „Diła"**, głównego organu t. z. narodowców ruskich, do którego to obozu należy przeważna część ruskiego duchowieństwa wiejskiego, występuje na jaw coraz dobitniej. W najnowszym numerze tego pisma debiutuje znowu dr. Iwan Franko, który dawniej dla swoich radykalnych tendencyj socyalistycznych zniewolonym był przez spółkę wydawniczą *Diła* wystąpić z redakcyi. Dziś już zasady socyalistyczne tego utalentowanego pisarza wydawców *Diła* nie żenują — a nawet podobno ma on objąć faktycznie redakcyę *Diła* po ustąpieniu teraźniejszego redaktora, dra Włodzimierza Ochrymowicza, który zamierza otworzyć kancelaryę adwokacką w Drohobyczu. Dr. Eugeniusz Lewicki ma być tylko firmantem nowej redakcyi.

= **„Hajdamaki."** Pod tym tytułem zapowiada niejaki pan Michał Pietrzycki wydawnictwo ruskiego tygodnika politycznego dla włościan. W jakim duchu i z jaką tendencyą będzie to pismo redagowanem wskazuje bardzo wymownie obrany przez wydawców tytuł. *Diło* donosząc o tem zamierzonem nowem wydawnictwie, które w jednym z nią lokalu ma się mieścić, i prawdopodobnie na wspólny rachunek i w jednakim duchu z niem będzie redagowanem, oświadcza, iż wydawnictwo „*Hajdamaków*" jest teraz „naturalną potrzebą" dla ruskiej ludności...

= **Defraudacya na kolei.** W kasie osobowej na dworcu na Podzamczu sprzeniewierzył asystent kolejowy Józef Trzciński około 6.600 koron i uciekł. Jeszcze dnia 30 z. m. Trzciński nie przyszedł do biura, a tylko zawiadomił listem naczelnika stacyi, że jest chory. Ponieważ z listu wynikało, że choroba jest tylko chwilową niedyspozycyą, nie szkontrowano kasy i dopiero po dwóch dniach, gdy posłany do Trzcińskiego lekarz kolejowy nie zastał go w domu, przeprowadzono szkontrum i spostrzeżono brak 6.600 kor. Trzciński mieszkał razem ze swą utrzymanką przy ul. Zółkiewskiej 44; ta jednak umiała tylko tyle powiedzieć, że Trzciński wyjechał przed kilku dniami nie wiadomo dokąd. Defraudacyi dopuścił się Trzciński w sposób najprostszy. Prawdopodobnie miał już jakieś braki w kasie, jak przypuszczają około 2.000 koron; otóż wieczorem przed ucieczką, zabrał z kasy, co w niej było gotówką, pozostawiając tylko 700 kor. i uciekł w świat.

Do defraudacyi popchnęła go jak tylu innych gra w karty i życie nad stan. Trzciński był człowiekiem młodym, liczył zaledwie dwadzieścia kilka lat życia. Pochodził z rodziny obywatelskiej. Rodzice jego stracili majątek, on zaś przed trzema laty wstąpił do służby kolejowej, gdzie w ostatnich czasach zajmował stanowisko asystenta. Żył nad stan i namiętnie grywał w karty. Wierzył w swoje szczęście. Przed kilku laty był w Monaco, gdzie wygrał kilkanaście tysięcy reńskich. Pieniądze te poszły lekko. Myślał już znowu o Monaco, ale nie miał z czem tam pojechać. Aż wreszcie znalazł źródło. Na dworcu kolejowym „Podzamcze" wypowiadają wprost przekonanie, że Trzciński wyjechał do Monaco.

Skarb kolejowy nie ponosi żadnej szkody, gdyż pokryła ją już w zupełności rodzina Trzcińskiego.

= **Druga defraudacya na kolei.** Równocześnie ze sprawą defraudacyi na Podzamczu, wpadnięto i na trop drugiej — w Przeworsku. Suma przeworskiej defraudacyi mniejsza, bo wynosi tylko 3998 koron, a sprawcą jest Abraham Jakób Rosenbaum; był asystentem kolei we Lwowie, następnie przeniósł się do Stryja, a nakoniec jako kasyer osobowy przeniesiony został Rosenbaum na substytucyę do Przeworska przed paru tygodniami. Rosenbaum potrzebował wiele pieniędzy na swe potrzeby osobiste. Na bruku lwowskim znany był Rosenbaum jako lowelas i aranżer balów żydowskich. Nie było balu, ni maskarady, którejby Rosenbaum nie urządzał. Widywano go też w rozmaitych nocnych spelunkach, miano kawiarń noszących, gdzie grywał w karty i to grubo. Właśnie to hulaszcze życie było powodem, że Rosenbaum przeniósł się do Stryja, gdzie na niego mniej uwagi zwracano. Przyjeżdżał jednak często do Lwowa i bawił się wesoło, aż się urwało... Przed paru dniami Rosenbaum uciekł, — sądzono, że za granicę, albo do Ameryki. Tymczasem siedział on spokojnie we Lwowie u szwagra swego, gdzie go też miano przychwycić. Śledztwo wdrożyła przeciw Rosenbaumowi prokuratorya w Rzeszowie.

Kronika krajowa.

Z Tarnowa donoszą: W niedzielę popołudniu, ciekawi sensacyi widzowie byli świadkami nader przykrej sceny śmierci linoskoczka, tym razem Polaka. Na dwóch kozłach, słabo ustawionych, przywiązał linę, na której się popisywał. Z obu stron trzymali go za linę obwiedzioną u pasa dwaj ludzie, w razie zachwiania się był więc zabezpieczonym. Atoli stało się inaczej. Kozły słabo ustawione zachwiały się i cała lina runęła a z nią, z wysokości dwupiątrowej, nieszczęśliwy sztukmistrz. Z pękniętej czaszki buchnęła krew strumieniem, przerażenie zgromadzonej gawiedzi nie miało granic, wszystko zaczęło uciekać, krzyk i płacz żony i dzieci nieszczęśliwego napełnił powietrze. Nieszczęśliwego zabrano do szpitala.

Rada gminna w Jaworowie z powodu stwierdzonych w jej administracyi nieporządków, została rozwiązaną. Wydział krajowy zaproponował namiestnictwu na komisarza rządowego p. Teodorowicza urzędnika Wydziału kraj.

Kronika ogólna.

§ **Niemieckość uniwersytetu wiedeńskiego.** Na podstawie uchwały senatu akademickiego wszechnicy wiedeńskiej, rektor dr. Gussenbauer ogłosił, że wszelkie podania i pisma do senatu i dziekanatów wnoszone, muszą być napisane w języku niemieckim. Dotychczas wolno było na podstawie poprzedniej uchwały senatu akademickiego, wnosić podania do senatu w języku niemieckim lub łacińskim, a także w jednym z innych języków krajowych austryackich, jeżeli dołączone było urzędowe tłumaczenie niemieckie lub też aprobata udzielona ze strony jednego z profesorów uniwersytetu.

§ **Strajki.** W Budapeszcie zastrajkowało 300 robotników i 400 robotnic szmuklerskich, domagając się podwyższenia płacy.

W Wielkim Warazdynie zastrajkowali murarze.

W Temeszwarze strajkuje od kilku dni personal tramwajowy. Wczoraj przyszło do zaburzeń; strajkujący rzucili się na tych, którzy zgłosili się z chęcią do pracy i dopiero wojsko przywróciło porządek.

§ **Z Padwy** donoszą pod datą 4 bm. Wczoraj ks. biskup lubelski, Franciszek Jaczewski dokonał aktu konsekracyi ołtarza św. Stanisława, biskupa krakowskiego i męczennika, w kaplicy polskiej przy grobie św. Antoniego, za staraniem O. Jana Warchała, Franciszkanina i byłego spowiednika polskiego tamże, z jałmużn rodaków odmalowanej „al fresco" przez Tadeusza Popiela, artystę-malarza. W tej uroczystości brali współudział Polacy: ks. dziekan Władysław Czarnecki, prob. z Piasków, ks. dziekan Józef Pruszkowski, prob. z Garbowa, ks. Wielebald J. Hul prokurator OO. Kamedułów z Rna, dr. Kazimierz Jaczewski.

✱

Nauczyciel do 10-tniego ucznia.

— Dla czego, smarkaczu jeden, nie byłeś wczoraj w klasie?

— A bo moja mama miała wczoraj małego braciszka.

— Pamiętaj, ośle jeden, żeby się to nigdy więcej nie powtórzyło!

Z całego świata.

(Doniesienia telegraficzne.)

Gont a Mousson 7 października. Przy eksplozyi pieca węglowego zabity został 1 robotnik a 7 rannych.

Nowy Marghilan 7 października. (W prowincyi Fergana w Turkestanie) — Wczoraj popołudniu dało się tu uczuć silne wstrząśnienie ziemi, które trwało 2 minuty.

Stan powietrza. (Sprawozdanie centralnej stacyi meteorologicznej we Wiedniu i austryackich kolei państwowych.) D. 6 października 1902 o godzinie 7 rano Czerniowce +·—, Tarnopol +·— Lwów +2·7, Skole +3·7, Przemyśl +4·1, Tarnów +·—, Nowy Zagórz +4·8, Kraków +3·4, Praga +7·3, Wiedeń +7·7, Semmering +5·0, Budapeszt +8·9, Ischl +5·8, Riva +14·0, Tryest +18·4 Celzjusza.

Do dzisiejszego numeru dołączamy na okaz „DOBROBYT" — organ Związku Galicyjskich Kas Oszczędności, Nr. 2-gi.

MAŁY FEJLETON.

„Willa róż".

(Z francuskiego.)

Prawdziwy traf zagnał państwa Soire od tego zacisznego, a cudnego zakątka, tulącego się u skraju lasu Charmeuse, przy rzeczce Pail, przewijającej się jak wąż zielony, o łuskach lśniących w słońcu i zraszającej żyzne łąki i drzewne gąszcze, kąpiące swe korzenie w wodzie.

Gdyby nie odwiedziny malarzy, przybywających tu już w marcu, a spędzających nieraz w wiosce całą zimę, ustronie to, — mikroskopijny Eden, do którego nie zawitali jeszcze Paryżanie, ani cykliści, po którego drogach nie krążą jeszcze samochody, znaczące ślad swój hałasem kurzem i zapachem nafty — zdawałoby się martwem, taki w niem panuje spokój i cisza.

Państwo Soire nie umieli by byli właściwie powiedzieć, jakie kapryśne zrządzenie losu sprowadziło ich w cienie tych wierzb nadrzecznych, pomiędzy krzewy, pnące się i czołgające po drodze, o które potykały się raz po raz ich bicykle.

I w jakim stanie dotarła do wioski ta para małżeńska, tak szykowna zazwyczaj! Mozolne przedzieranie się pomiedzy gałęźmi potargało zupełnie pod kapeluszem włosy pani, pulchnej blondyneczki. Perłowo-szary kostyum pana uległ rozdarciu; w dodatku, jadąc brzegiem rzeczki, pan Soire, poślizgnął się, wywrócił, skąpał po kolana w wodzie i okaleczył rękę: ztąd lekka pretensya do żony.

Pan Soire, człowiek metodyczny i przezorny, nie mógł zrozumieć uporu, z jakim pani Soire zaciągnęła go — wbrew wszelkim zasadom zdrowego rozsądku — w tę dziką okolicę na te ścieżyny, pozbawione nawet drogowskazów.

— Ah, jakież to piękne! — wykrzyknęła nagle pani Soire, głosem pełnym zachwytu i zdumienia.

Tuż przed nimi, zagradzając im drogę, ciągnął się żywopłot z cierni, tak gęsty i zwarty, że zdarłaby się oń najtwardsza skóra. A za płotem rozrastały się krzaki, spływały całe kaskady róż, pnących się w górę lub zwieszających liście ku ziemi. Rozkwitały tak bujnie i obficie pomiędzy wysokiemi trawami i powodzią maków i ziela, zarastającą ogród, że zakrywały niemal dom mieszkalny, śliczny pawilon, podobny do luksusowych yachtów z jasnego drzewa i mahoniu, pachnących sosną norwegską, a wyglądających na gniazdka miłosne, dla zakochanych snobów, lubujących się w komforcie, meblach angielskich i powłóczystych sukniach z „liberty".

Na ścianie domku wisiała karta, naklejona na drzewie, zniszczona, zmyta przez szarugi, spłowiała od słońca, popękana i nędzna, a odbijająca dziwnie rażąco od tej orgii róż, swobodnie rozkwitłych i od czaru tego przybytku uśpionej królewny.

Pani Soire, którą natura obdarzyła duszą poetyczną, zwróciła ku mężowi wzrok płonący zachwytem.

— Tu muszą spędzić lato!... Co za marzenie! Niech tylko on się jej nie sprzeciwia... Trudność komunikacyi, kłopot z dostawą żywności, poczta przybywająca co dni parę.. Nie, nie, pani Soire nie chce słuchać o wszystkich niedogodnościach.

Ona chce i musi nająć ten domek... straszną ma na niego ochotę... rozchoruje się, jeśli mąż jej tego odmówi.

— Trzeba w każdym razie odnaleźć właściciela domu — odparł kwaśno pan Soire. — A jak tu się przedostać?

Dzięki upartej wytrwałości przedostali się jednak. Walcząc na każdym kroku z przeszkodami, okrążyli groźny żywopłot, dotarli do równej dość drożyny, od niej do drogi, do starych, zapadłych domostw z zamkniętemi wrotami, wreszcie do oberży, jedynego miejsca, w którem pulsowało życie.

Zjedli mleka, żytniego chleba i wisien, co pokrzepiło siły pana Soire, poczem raźniejsi i weselsi skierowali kroki ku „Willi róż" pod przewodnictwem stuletniego mniej więcej starca.

— Za jakąż cenę odnajmują ten dom? — spytał pan Soire, a nie otrzymawszy odpowiedzi, powtórzył zapytanie głosem donośnym, wreszcie huknął je wprost w ucho chłopa.

Upłynęły co najmniej trzy minuty; zdawało się, że głos przebyć musi wielkie przestrzenie, nim uderzy o bębenek słuchowy starca.

Gdy wreszcie wieśniak odezwał się, dziwny wyraz wahania i przebiegłości odbił się na jego obliczu, wyżłobionem w zmarszczki, zarosłem martwym włosem.

— Niedrogo, niedrogo... Trzeba tylko zobaczyć pana Clapot.

— Czy to sam właściciel?

Znów pięciominutowa cisza i wyczekiwanie. Wreszcie chłop usłyszał i odpowiada.

Mówi wolno, jak gdyby jego bezzębne szczęki nie mogły już słów artykułować:

— Nie, to taki malarz, co maluje farbami i mieszka tu zaraz.

Idą więc do malarza; dzwonią. Jego szare domostwo posiada gołębnik: gdzie wino pnie się nad drzwiami, które otwierają się i wnet zamykają pospiesznie.

Pani Soire zaczerwieniła się po uszy: dojrzała nogi w czerwonem safianowem obuwiu, dolny... negliż liliowej barwy, niebieską koszulę, trykot w białe pasy, jaki noszą tragarze, gołą szyję, twarz porośniętą bujną brodą rudą czuprynę, na niej miękki popielaty kapelusz, powyginany z fantazyą i zdobny w pawie piórko. Malarz trzymał w ustach fajkę, a w ręku paletę.

Po krótkiej chwili ukazał się ponownie w bufiastych spodniach, w lakierkach i w bardzo krótkiej marynarce. Przepraszał bardzo gości za zaniedbany kostium, w którym go zastali; wyrażał się poprawnie; a pomimo cyganeryi nie był pozbawionym pewnej elegancyi, która podziałała uspokajająco na małżeńską parę, żywiącą w głębi duszy szczerą niechęć do artystów.

— Chcecie więc państwo wynająć ten domek? Mam klucze, możemy go obejrzyć. Cena umiarkowana: 200 franków za sezon.

— Mieszkanie jest umeblowane?

— Tak pani.

Małżonkowie spojrzeli po sobie. Nie, to byłoby zbyt pięknem. Gdy weszli do zapuszczonego ogrodu, zachwyt ogarnął ich na nowo w obec bogatej zieleni, wszelkiego kwiecia i otchłani róż, plączących się kapryśnie, zaścielających taras, pełzających po oknach; wszystkie ich odmiany zlewały tu swe wonie. Róże pomarańczowo-żółte miały ostry zapach pieprzu, cieliste pachniały herbatą. Jedne miały płatki jedwabiste, a drugie aksamitne; były też róże o listkach bladoróżowych, o płomienistem czerwonem sercu... Wewnątrz domu nieco wilgoci... słońce ją wysuszy... papiery poodklejały się tu i owdzie, lecz pokoje umeblowane były z wykwintem... Stanowczo wynajmą tę willę.

Lecz im więcej wzmagał się entuzyazm państwa Soire, tem więcej Clapot zdawał się być niezadowolonym i zakłopotanym i targał z miną zamyśloną swą wielką brodę. Zaniepokoiło to małżonków: może podniesie im cenę, widząc, iż dom im się podoba?

Nie, inny był powód zadumania malarza. Clapot rozmyślał nad tem, iż od lat pięciu „Willa Róż" stoi pustką, a on miłuje ją za jej czar magiczny i maluje kaskady jej róż; że teraz zepsują mu ją ci przybysze, że jej posiadacz jest arcybogatą postacią, dla której 200 franków znaczy tyle, co dla Rotszylda 50 centymów, że pan Soire wygląda na kretyna... Wprawdzie pani Soire jest rozkoszną i milutką, ale on, Clapot, posiada... cnotę i żonę Athénais, zazdrosną jak tygrysica.

— A więc, co do mieszkania rzecz jest skończona, — rzekł z najuprzejmiejszym uśmiechem. Każę oczyścić ogród i doprowadzić do porządku mieszkanie... Do porządku, — dodał dziwnym tonem i z jakimś szczególnym uśmiechem. — Do porządku... — powtórzył po raz trzeci poważnie, głosem basowym.

Państwo Soire zamienili niespokojne spojrzenie.

Clapot zwrócił się znów do nich, pytając jakby od niechcenia?

— Czy nie zdziwiła państwa taniość mieszkania?

— O tak! — wykrzyknęła pani...

Mąż skarcił ją surowem wejrzeniem i odparł tonem człowieka, znającego się na interesach.

— Hm... hm... w rezultacie dom leży na ustroniu...

— Ah, mówił dalej Clapot, ściągając nozdrza i marszcząc brwi, — jest to dla mnie kwestya bardzo delikatna: powinienem milczeć, lecz moglibyście państwo wyrzucać mi to potem... Jednem słowem... czy nie dziwi was, że dom od lat pięciu stoi pustką.

— Tak, zapewne! szczególniej w tak pięknej miejscowości.

— I nie przyszło państwu do głowy, że jakiś tajemniczy powód...

— Ah, Boże! — wykrzyknęła pani Soire, — dom nawiedzają duchy!

Miała stryja spirytystę, u którego odbywały się senzacyjne posiedzenia: stoły walcowały, krzesła unosiły się w powietrze, a drzwi szafy, zamieszkiwanej przez ducha, wymierzyły pewnego dnia w ciemności policzek panu Soire.

— Gorzej jeszcze! — odparł Clapot z miną ponurą i tem wymowniejszą, że silił się na bolesny uśmiech.

— Jakaś zbrodnia? — Spytał trwożliwie pan Soire

— Tak, panie! — potwierdził Clapot... — młoda kobieta, piękna blondynka... ucięto jej głowę... tam, za panią — pani Soire odskoczyła raptownie — w tej altance, zarosłej obecnie całkowicie. Kobieta walczyła z mordercą... włosy, zlepione krwią przylgnęły do drzewa.

— Ależ to okropne!

— Zabito również dziecko, służące utopiono w rzece...

— A mąż? — spytał p. Soire, kierując się specyalnem kojarzeniem wrażeń.

— Uśmiercony pałką we śnie... koło tego drzewa.. w biały dzień... mordercę nieodkryto... I oto dla czego...

— A pan nic nie słyszałeś? Nie mogłeś przybiedz z pomocą?

— Podróżowałem wtedy po Egipcie... A więc podpiszemy kontrakt?

— Tak, bezwątpienia, — rzekł pan Soire, którego pobladła ze strachu żona trącała zlekka łokciem. — To jest, właściwie... powrócimy jeszcze, jeśli pan pozwoli i... i pomówimy o tem...

Małżonkowie oddalili się z miną godną, a rozradowaną zarazem, nie widząc że malarz posłał w ślad za nimi gest łobuzerski, przykładając jednocześnie rękę do serca i zginając się w ceremonialnym ukłonie.

Ruch artystyczno-literacki.

* **Wielki koncert symfoniczny** odbędzie się w Filharmonii we czwartek. Weźmie w nim udział słynny tenor Aleksander Bonci, którego dyrekcyi udało się pozyskać na jeden występ. Bonci odśpiewa między innemi, prześliczną aryę z opery Danisetti'ego „Napój miłosny", dalej aryę z oper „Gioconda" i „Marta". Światowa sława znakomitego śpiewaka i zajmujący program są rękojmią, że sala Filharmonii wypełni się po brzegi, tembardziej, że ceny miejsc nie są podwyższone.

W sobotę dnia 11 b. m. koncert popularny. Wszystkie miejsca w sali będą siedzące i numerowane po cenach również bajecznie niskich, tak, że fotele w pierwszych rzędach kosztować będą po 1 kor. 40 hal. w następnych po 1 kor. Ceny lóż i balkonów zostają niezmienione jak na ostatnim popularnym koncercie.

Dyr. Henryk Jarecki zapadł na zdrowiu, skutkiem czego koncertami dziś i we czwartek dyrygować będzie tylko kapelmistrz Ludwik Czelański.

O Aleksandrze Bonci pisał Hanslick: „Wykonanie opery Donizetti'ego „Napój miłosny" było niezwykle interesującem z powodu występu tenora Al. Bonci, lecz nikt przypuszczać nie mógł, ażeby sukces tego wielkiego śpiewaka, odniesiony w operze „Purytanie" mógł dojść do takiego szczytu potęgi i mógł wywołać tak szalony entuzyazm, jak to miało miejsce na wczorajszem przedstawieniu. Sukces ten był wprost niebywały, a powtórzenie aryi wywołało publiczność w istny „bonciamiam". Przyznać musimy, że ten śpiewak niezwykłej miary i ośmielamy się nawet sądzić, że równego sobie nie znajdzie na obu półkulach. Jest to mistrz, w całem tego słowa znaczeniu, który swoim cudownym głosem włada wprost imponująco i wydobywa z krtani wysokie C tak bez najmniejszego wysiłku, iż wierzyć się nie chce, że to krtań ludzka itd.

Repertuar lwowskiego teatru miejskiego.

We środę „Kładka".

We czwartek po raz pierwszy: „Jedendzień" sztuka w 8. akt. Adama Krechowieckiego.

Repertuar teatru krakowskiego.

We środę „Żołnierz królowej Madagaskaru" Dobrzańskiego.

We czwartek „Matka" Przybyszewskiego.

Z KRAKOWA.

(Telefonem i pocztą).

— Do krakowskiej policyi zgłosił się niejaki Markus Lang z Gródka i doniósł, że w pociągu w drodze do Krakowa spełniono na nim kradzież w wagonie. Wycięto mu kieszeń z pugilaresem, zawierającym 500 marek, 570 k. gotówką i weksle na 140 k. wystawione na imię Statkiewicza. O spełnienie kradzieży posądza jadącą w tym samym wagonie kobietę, która wysiadła w Bochni.

Z POZNANIA.

(Telegrafem i pocztą).

— Ze Saksonii donoszą, iż wszystkim polskim towarzystwom tamże dano podobno od rządu saskiego wskazówkę, aby na wszystkich zebraniach polskich towarzystw używano tylko języka niemieckiego.

— *Posener Ztg.* wymienia jako następcę Gosslera w pierwszej linii prezydenta Księstwa Poznańskiego Bittera, a tegoż następcą zostaćby miał hr. Posadovsky.

Z WARSZAWY.

(Poczta).

— Wczoraj o godzinie 1 popołudniu w warszawskim sądzie okręgowym otwarto i odczytano testament śp. dra Florkiewicza, który dnia 13 sierpnia zmarł w Zakopanem. Między innemi przeznaczył testator 2 nieruchomości w Zakopanem i 40.000 rubli gotówką na własność królestwu Galicy i Lodomeryi wraz z W. Ks. Krakowskiem, aby władza krajowa z tego funduszu utworzyła szkołę sanatoryjną w Zakopanem. W szkole tej mogliby uczniowie przychodni czerpać jednocześnie naukę i zdrowie. Następnie 18.000 rubli na rzecz Akademii umiej. w Krakowie, 5.000 rubli na rzecz Uniwersytetu Jagiellońskiego, z warunkiem, aby procenta od tej sumy były wypłacane corocznie, jako stypendyum studentowi wydziału lekarskiego lub filozoficznego na wspomnianym Uniwersytecie, Polakowi i katolikowi, aż do ukończenia studyów uniwersyteckich, 3.000 rubli na towarzystwo pomocy naukowej im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, 2.000 rubli na rzecz muzeum tatrzańskiego im. dra Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem. Wszystkie książki, atlasy i zbiory naukowe po skatalogowaniu mają przejść na własność szkoły sanatorskiej w Zakopanem lub Akademii umiej. w Krakowie.

Telegramy i telefonematy.

Rokowania ugodowe.

Budapeszt 7 października. Austryaccy referenci fachowi szef sekcyi dr. Stibral, radca ministeryalny dr. Rossler i radca sekcyjny Gerstendorfer, pracowali przez cały wczorajszy dzień od 8 rano do 8 wieczorem, z krótką przerwą obiadową, wraz z referentami fachowymi węgierskimi radcami ministeryalnymi: Biro, Ottlikiem i bar. Androanszkym nad redakcyą projektu autonomicznej taryfy celnej i ustawą wykonawczą w myśl wyniku onegdajszych rokowań. Prace te prowadzone będą dziś w dalszym ciągu.

Wiedeń 7 października. Prezydent ministrów Szell był dziś o 8 rano przyjęty przez cesarza na audyencyi prywatnej, która trwała przeszło godzinę. Szell zdał cesarzowi sprawę o sytuacyi.

O godzinie 3 popołudniu odjeżdża Szell z powrotem do Budapesztu, aby wziąć udział w odbywającej się tam konferencyi stronnictwa liberalnego.

Wiedeń 7 października. Półurzędowa zapowiedź o bliskiem zwołaniu rady państwa wydaje się najlepszą odpowiedzią na rozpowszechnioną wczoraj pogłoskę o dymisyi obu gabinetów. Jakkolwiekbądź tę zapowiedź tłumaczyć, w żaden sposób nie zwiastuje ona bliskiej dymisyi. Najbliższem i najbardziej rozpowszechnionem jest też mniemanie, że dojście do skutku ugody jest niewątpliwem.

Ale nie brak też głosów, które twierdzą, że dr. Koerber zwołuje radę państwa bez względu na ugodę, gdyż — tak czy owak — nie brak dla parlamentu zajęcia. Dodają nawet niektórzy, jakoby cesarz nakazał wczorej zwołanie rady państwa bez względu na stan kwestyi ugody.

Są jeszcze i inni, którzy w awanturniczych kombinacyach posuwają się do twierdzenia, że Rada państwa zwołaną zostanie na to, by rozstrzygnąć, czy w owej tajemniczej kwestyi, która różni oba gabinety, rząd austryacki uczynić ma ustępstwo, czy nie. Przeważa jednak opinia o pomyślnym stanie ugody. Za tem przeważa także okoliczność, że referenci austryaccy pozostali w Budapeszcie, aby uchwaloną już taryfę celną i przepisy wykonawcze do niej ująć w formę ustawy. Nie idzie zresztą za tem, by przedłożenia ugodowe w dzień zagajenia sesyi parlamentarnej gotowe już złożone zostały do laski prezydyalnej. Wystarczy, jeżeli dr. Koerber będzie mógł oświadczyć. że ugoda pomiędzy obu rządami jest gotowa, a rządy zajęte są wypracowaniem odpowiednich ustaw. Wobec faktu, że rządy co do pozostałej jeszcze dyferencyi zachowują ścisłą tajemnicę, autentyczny komentarz z góry jest niemożliwy.

Wiedeń 7 października. Prezydent ministrów Szell odjechał dziś po południu do Budapesztu.

Wiedeń 7 października. (Tel. pryw.) Prezydent ministrów Szell był dziś o 8 rano na audyencyi u cesarza, lecz ani z dr. Koerberem ani z hr. Gołuchowskim nie konferował. O 3 popołudniu wyjechał z powrotem do Budapesztu.

Z Budapesztu ciągle donoszą, że sytuacya jest poważną, podczas, gdy tutaj wydawane biuletyny brzmią bardzo optymistycznie. Dotychczas niestety mieli Węgrzy zawsze racyę. W południe dr. Koerber i hr. Gołuchowski byli na audyencyi u cesarza.

Rada państwa.

Wiedeń 7 października. Biuro korespondencyjne donosi, że zwołanie rady państwa nastąpi w najbliższych dniach.

Wiedeń 7 października. *N. Fr. Presse* donosi dziś, że wczoraj zapaść miała uchwała co do zwołania Izby posłów między 15 a 20 bm.

Sprawy austryackie.

Budziejowice d. 7 października. (Tel. pryw.) W Schweinitz (Sviny-Trhove) odbył się w niedzielę sejmik relacyjny, urządzony przez posłów młodoczeskich Halanskyego i dr. Rybę. Posłowie ci oświadczyli się stanowczo przeciw taktyce obstrukcyjnej klubu młodoczeskiego. P. Rybie jako redaktorowi *Narodnich Listów* z tem oświadczeniem jest nadzwyczaj do twarzy.

Polityka francuska.

Paryż 7 października. Wczoraj wieczorem odbył się bankiet doroczny komitetu republikańskiego dla handlu i przemysłu, w obecności prezydenta ministrów Combesa, wielu ministrów, senatorów i deputowanych. Minister handlu wygłosił mowę w której wyraził uznanie kupiectwu, za rezultaty osiągnięte na rozmaitych zagranicznych wystawach. Minister zakończył wezwaniem, aby obecnie w chwili powstania wielkich trustów kupcy francuscy pielęgnowali i rozwijali ducha przedsiębiorczego i aby uczyli się wielu języków obcych. Deputowany Brissen wyraził uznanie kupiectwu za gorące zainteresowanie się sprawami republiki. Kraj w obecnych wyborach dobitnie objawił, iż jest za utrzymaniem Rzeczypospolitej. Jednakże socyaliści nie chcą wydać broni z ręki. Kongregacye rozwinęły sztandar oporu. Kraj spostrzegł to niebezpieczeństwo i rząd wreszcie zdecydował się odebrać nauczanie kongregacyom. Obecnie jest obowiązkiem rządu rozciągnąć opiekę nad wychowaniem i wziąść je w swe ręce i wychować przyszłą generacyę patryotycznie.

Następnie zabrał głos prezydent ministrów Combes i dziękował za słowa uznania poprzednich mowców i powiedział, że jest dumnym z tego, że jest następcą Waldecka-Rousseau, który urzeczywistnił program partyi republikańskiej i odwrócił od Rzeczypospolitej podwójne niebezpieczeństwo: nacyonalizmu i klerykalizmu. W polityce rządu nic się nie zmieniło. Komitet dla handlu i przemysłu jest również interesowany w postępie i wolności i niech nie zapomni, że rewolucya francuska wyswobodziła także kupców, jest więc także w ich interesie bronić Rzeczypospolitej.

Następnie wskazał mowca na kontrrewolucyę, wywołaną przez kongregacye, wśród okrzyków: „niech żyje wolność". Zakonnicy i członkowie stowarzyszeń klasztornych, stając na stopniach ołtarzy, wzywają Boga na świadka, że prześladuje się wolność sumienia. Tymczasem tak nie jest. Nadużywają okrzyku: „niech żyje wolność!"

Z tym samym okrzykiem na ustach panie ze świata wykwintnego zapraszają do siebie kobiety z ludu, wzywają je do demonstracyj i hałaśliwych pochodów. Jest to niegodną komedyą i rząd nie będzie słabym wobec takich wystąpień i nie da się wziąć na lep fałszywego liberalizmu. Nasze znane dekrety udowadniają, że mamy silną wolę i że ustawa uchwalona przez parlament będzie z całą stanowczością wykonaną. Mówiono nam, że kraj nie stoi za nami. Zapytaliśmy kraju. Odpowiedzią na to pytanie był wynik ostatnich wyborów, dowody uznania ze strony rad gminnych itd. Następnie wyliczył prezydent ministrów kilka ustaw, któremi się zajmie w najbliższym czasie parlament, między innemi zabezpieczenie na starość.

Generałowie boerscy w Brukseli.

Bruksela 7 października. Generałowie Boerów De Wet, Botha i Delarey przybyli tu wczoraj wieczorem, witani przez tłumy ludności, które zebrały się koło dworca. Żandarmerya nie mogła powstrzymać naporu tłumu, który wśród okrzyków na cześć generałów otoczył powóz. Generałowie pojadą we środę do Gandawy, skąd wrócą we czwartek i tego samego dnia odjadą do Utrechtu na urodziny prezydenta Kruegera.

Bruksela 7 października. Z balkonu hotelu, w którym zamieszkali generałowie boerscy, wygłosił De Wet przemowę. Oświadczył, że przybywają do Europy nie, aby szukać pomocy w celu odzyskania niepodległości, lecz, aby szukać pomocy dla pokrycia szkód i strat, poniesionych wskutek wojny.

Bruksela 7 października. Na cześć generałów boerskich odbyło się wielkie zgromadzenie, na którem De Wet wygłosił przemowę. Powiedział on mianowicie: „Wobec tak ogromnego entuzyazmu, z którym nas tu powszechnie przyjęto, pytam się tylko, dlaczego nie było żadnej interwencyi. Widocznie Bóg chciał, żebyśmy stracili niezawisłość. Pozostaniemy wierni naszej nowej ojczyźnie, Anglicy nie są więcej naszymi wrogami. Ja sam podpisałem traktat pokojowy i dotrzymam słowa."

Strajki.

Nowy Jork 7 października. Cała gwardya narodowa w Pensylwanii została powołana do służby w rewirze strajkowym.

Paryż 7 października. Według doniesienia *Figara* deputowany Basly, przywódca górników i departamentu Pas de Calais oświadczył, że jego zdaniem strajk będzie generalnym tylko w departamentach Pas de Calais, Loire, Carmaua. W innych zaś departamentach nie należy się spodziewać strajku generalnego.

Paryż 7 października Z wyjątkiem departamentów Pas de Calais, Loiry, Carmaux nie należy się obawiać strajku generalnego w innych rewirach, ponieważ częścią organizacya górników jest niedostateczną i słabą, częścią zaś odstrasza ich od tego doświadczenie, ponieważ w poprzednim strajku nikt im nie przyszedł z pomocą.

Król belgijski abdykuje.

Brukselia 7 października. Pogłoski, że król Leopold tronu zrzeka się, występują z coraz to większą natarczywością. Ostatnie wypadki, mianowicie śmierć królowej Henryki i niesnaski w rodzinie królewskiej przyspieszyły wykonanie dawno już powziętego zamiaru abdykcyi. Król Leopold liczy 57 lat.

Berlin 7 października. (Tel. pryw.) Berlińskie dzienniki reprodukują doniesienie *Posener Ztg*, według której przed zebraniem się niemieckiego parlamentu zajdą ważne zmiany na wybitnych stanowiskach rządowych. *Berliner Tagbl.* donosi, że hr. Posadowsky przyjdzie do Poznania na miejsce Bittera jako starszy prezydent rejencyi.

Jokohama 7 października. Krążą pogłoski, że minister wojny ma zamiar przeprowadzić gruntowną reformę floty, przyczem będzie wybudowanych wiele okrętów wojennych większych i kilka mniejszych.

Rzym 7 października. Pewne wrażenie wywołał dekret ministra Giolitti'ego, mocą którego dwunastu duchownych, profesorów, pochodzących z południowego Tyrolu, a udzielających nauki w Weronie, otrzymało zakaz dalszego nauczania z motywami, iż są oni cudzoziemcami. Jest to pierwszy wypadek, gdzie rząd włoski Włochów austryackich uznaje za cudzoziemców. Prasa katolicka włoska twierdzi, iż rząd uczynił to tylko dlatego, iż dotknięci są duchownymi.

Kopenhaga 7 październiks. Minister skarbu Haagen przedłożył Folkethingowi budżet za czas od 1 kwietnia 1908 do 1 kwietnia 1904. Dochód jest preliminowany w kwocie 70,200.000 a rozchód w kwocie 74,500.000 koron.

Z rynków towarowych.

Bank rolniczy we Lwowie d. 7 października. Ceny za 50 kilogramów loco Lwów. Waluta koronowa. Pszenica gotowa 7·10 do 7·20, pszenica nowa 6·75 do 7·—, żyto gotowe 5·90 do 6·10 na term. 5·70 do 5·80, owies obroczny got. 5·25 do 5·75, na term. 5·25 do 5·75, jęczmień nowy 5·— do 5·25, jęczmień browarny 5·50 do 5·75, rzepak nowy 9·50 do 9·75, lnianka — — do —·—, groch pastewny 5·75 do 6·—, groch do gotowania 7·— do 8·50, wyka 4·50 do 5·—, bobik 4.75 do 5·25, : reczka 0·— do 0·—, kukurudza nowa 5·— do 5·50, stara 6·60 do 6·70, chmiel za 56 kilo —·— do —·—. koniczyna czerwona 45·— do 50·—, biała 60·— do 80·—, szwedzka —·— do —·—, tymotka 18·— do 25·—

Spirytus loco za 50 lit. gotowy 16·50 do 16·75, paritas Tarnopol eskontyngentowy 7·50 do 7·75.

Z powodu świąt żydowskich ruch ograniczony ceny notują niezmiennie.

Wiedeń d. 7 października. Kurs w kor. i po 50 klgr. Notowano: pszenicę na jesień 7·26 do 7·27, na wiosnę 7·41 do 7·42, żyto na jesień 6·57 do 6·60 na wiosnę 6·76 do 6·77, kukurudza na czerwiec-lipiec 0·00 do 0·—, na lipiec-sierpień 0·— do 0·—, na sierpień-wrzesień 0·— do 0·—, na wrzesień-październik 6·30 do 6·32, owies na jesień 6·16 do 6·17, na wiosnę 6·40 do 6·41, Rzepak na sierpień-wrzesień —·— do —·—, na wrzesień-październik —·— do 0·—, na styczeń luty —·— do —·—, olej rzepakowy na wrzecień-październik —·— do —·—.

Usposobienie pszenica i żyto nieco słabsze.

Stan powietrza: pochmurno.

Wiedeń d. 7 października. Cukier (Jstal.) 19·50 do —·—. Nafta galicyjska 32·— do —·—. Spirytus 37·80 do —·— (słabnący).

Z rynków pieniężnych,

Berlin 7 października. Zamknięcie giełdy. Banknoty austryackie 85·50 (podług obliczenia procentowego), Spirytus —·—, Austryackie kredyty —·—, Disc. Commandit. —·—.

Frankfurt 7 października. Giełda wieczorna. Austryackie kredyty 215·90 Kolej państwowa 153·50. Alpiny —·—, Disconto —·—, Laura —·—.

Paryż 7 października. Giełda wieczorna. Trzyprocentowa renta 99·92, Mąka 29·60.

Nadesłane.

Za tę rubrykę Redakcya nie odpowiada.

HOTEL EUROPEJSKI

(Alberta Szkowrona).

Przyjechali do Lwowa 7 października 1902. W. Zdanowicz z Borysławia, J. Haładewicz z Czortkowa, S. A. Glazor z Ustrzyków, W. Wachal z Chorkówki, H. Müller z Hamburga, M. Szumpeterówna z Buska, M. Jorga z Bukaresztu, E. Zdanowicz z Borysławia, P. Strelów z Gracu, J. Goldberg z Grzymałowa. M. Wartman z Wiednia.

Spowiedź lekarza.

Dawno już żadna książka nie wywołała tak żywej dyskusyi w prasie europejskiej, jak senzacyjna broszura Weresajewa pt. „Spowiedź lekarza". Książkę tę przetłumaczono niemal na wszystkie języki europejskie, a świeżo przyswoił ją także literaturze polskiej dr. Roman Gutowski.

Nie wiem, jak nasza prasa lekarska powita „Spowiedź" Weresajewa, równającą się oskarżeniu, wiem tylko, że w czasopismach rosyjskich i zagranicznych zarzucono autorowi tendencyjne podkopywanie zaufania do medycyny. Zapytano się z oburzeniem Weresajewa, dlaczego tajemnice klinik i szpitali rzuca na pastwę tłumu szerokiego, dlaczego zagadnienia dręczące głosi w popularnej, prawie beletrystycznej broszurze, zamiast ukryć je w pismach zawodowych przed okiem profanów?

A Weresajew odpowiedział, że minęły już czasy, w których medycyna była rodzajem magii otaczającej się chmurą tajemniczości, że gdyby nawet swoją „Spowiedź" ogłosił w wydawnictwie specyalnem, prasa wydobyłaby z niej wszystko, co „ciekawsze" i oświetliłaby fakty z własnego stanowiska.

„Zresztą jakaż to stara, odwieczna, niezdarna, a jednak przez wszystkich uznawana taktyka: nakazywać milczenie obawy, aby prawda nie zachwiała potęgi! Jak gdyby istniała tak mocna skrzynia, w którejby można prawdę zamknąć na zawsze. Choćbyś ją okuł nie wiem, jak mocno, to prawda ją musi rozsadzić i zacznie wypełzać przez wszystkie szczeliny — zeszpecona, poszarpana, podniecająca przez swoją niedokładność i nasuwająca domysły jak najgorsze.

Jedno z dwojga: albo prawda może zmniejszyć wiarę w medycynę i lekarzy dlatego, że medycyna rzeczywiś ie na wiarę zasługuje, a w takim razie prawda jest pożyteczna, — albo też prawda może zachwiać wiarę w lekarzy dlatego, że wykazuje ujemne strony lecznictwa, usuwalne lecz nie usunięte, w takim razie prawda jest konieczna. Z chwilą, kiedy te strony ujemne zostaną usunięte, wiara nanowo się zjawi, a póki to nie nastąpi, zupełnej wiary być nie powinno".

Weresejew rozpoczyna swe pamiętniki od chwili swego wstąpienia na wydział lekarski do uniwersytetu petersburskiego Mówi, że jest człowiekiem przeciętnym i normalnym, ale wystarcza przeczytać kilkanaście stronnic jego broszury, aby zrozumieć, że jego rzekoma „przeciętność" jakoś nie bardzo zgadza się z talentem pisarskim i subtelnością analityczną, a jego rzekoma normalność z wrażliwością nerwów i czucia normalnego. Zdaje mi się, że dla właściwej oceny pamiętników koniecznem jest ustalenie pewnej nadczułości i melancholijnej autoanalizy autora. Nie obniży to wartości faktów cytowanych, ale pozwoli osądzić trzeźwo jego osobisty stosunek do medycyny.

Młody student upaja się zrazu blaskiem wiedzy przyrodniczej, dalej zaczyna go przerażać ogrom cierpienia i nędzy. nagromadzonej w szpitalach, potem strach przed chorobą, czychającą na szczęście ludzkie, dręczy go przywidzeniami. Równocześnie jednak myśl jego wikła się w sprzecznościach. Zaufanie do potęgi lekarskiej niknie, ofiary, któremi ta wiedza okupuje swoje istnienie i postęp, przerażają melancholika młodego. Bez badań i demonstracyi nauka medycyny obyć się nie może, ale te badania w klinikach, wobec gromady studentów ciekawych, stają się męką dla pacyenta Najważniejsze pod względem pedagogicznym oględziny oddziaływują przygnębiająco i denerwująco na chorych. A biedak poddać się musi badaniom publicznym. Dano mu łóżko bezpłatne w klinice, więc nie ma prawa opierać się woli profesora. To wielu ludzi odstręcza od szpitalów, to w Berlinie doprowadziło nawet do gwałtownych opozycyi związków robotniczych, alę nie ma sposobu złemu zaradzić, bo zkądże brać materyał niezbędny dla pedagogii lekarskiej.

A potem sekcya. Regulamin szpitalny wymaga od chorych bezwarunkowego poddania się badaniom studentów i tenże regulamin nakazuje również sekcyę obowiązkową wszystkich pacyentów, zmarłych w klinice uniwersyteckiej. U drzwi zaś gabinetu sekcyjnego błagają matki osierocone, aby się nad trupem nie znęcano.

A lubo nie ulega żadnej wątpliwości, że takie badania są dla nauki bardzo pożyteczne, gdyż wykazują błędy lekarza i dają mu możność uprzytomnienia sobie obrazu anatomicznego każdej choroby, to ustalonym jest również fakt, że z obawy przed sekcyą mnóstwo ludzi ucieka ze szpitalów. Zdarzało się, że matki w ciężkich chorobach zabierały dzieci z kliniki, narażając je na śmierć najoczywistszą, aby tylko ustrzedz swe najdroższe istoty przed ewentualnością dostania się pod nóż anatomiczny.

Weresajew zwraca także uwagę na upokorzenia, którym poddać się muszą kobiety w klinikach propedeutycznych. Tam nikt nie uznaje praw wstydliwości kobiecej. Ot! „Niech się pani rozbierze! Proszę zdjąć bieliznę! Niema czego płakać! No, prędzej!" I stu młodych akademików bada i ogląda. Autor „Spowiedzi" opowiada smutną historyę takiego badania na pacyentce młodej, drżącej ze wstydu i zalanej łzami.

„Tego samego dnia, wieczorem, przyszła do mnie znajoma studentka. Opowiedziałem jej ten epizod.

— Tak, to przykre! — odrzekła. — Ale cóż robić ostatecznie? Inaczej uczyć się nie można, trzeba się z tem pogodzić.

— Zupełnie słusznie. Ale proszę, niech mi pani odpowie na jedno pytanie: Gdyby panią czekało coś podobnego — tylko proszę sobie dokładnie to uprzytomnić — czyby się pani udała do nas?

Milczała.

— Nie poszłabym za nic w świecie! — odrzekła wreszcie, wzdrygnąwszy się. — Raczej śmierć!"

A przecież ona czciła naukę i rozumiała, że „inaczej uczyć się nie można", tamta zaś tego wcale nie rozumiała; wiedziała tylko, że nie stać ją na opłacenie lekarza prywatnego i że w domu ma troje dzieci.

Ale cóż począć? Inaczej uczyć się niepodobna. I oto stajemy wobec sprzeczności przykrej, której rozwikłanie nie jest w naszej mocy.

„Istnienie szkoły lekarskiej, szkoły nauk najhumanitarniejszych, jest nieprawdopodobieństwem, bez gwałcenia najprostszych zasad humanitarnych. Korzystając z tego, że ubodzy, dla braku środków, nie mogą się leczyć na koszt własny, szkoła nasza robi z chorych manekiny do doświadczeń, depce bez litości wstyd kobiecy, potęguje boleść matki, wydając ciało jej dziecka umarłego na okrutne pohańbienie. A jednak zaniechać tego wszystkiego szkoła nie może: z własnej woli niewielu chorych poświęciłoby się dla dobra nauki.

„Jakie jest wyjście z tego położenia, nie mam pojęcia; wiem tylko, że medycyna jest niezbędna i że inaczej uczyć się nie można, lecz wiem również, że gdyby moja żona lub siostra, zniewolona przez nędzę, znalazła się w położeniu owej chorej u profesora, to oświadczyłbym, iż szkoła lekarska nic mnie nie obchodzi i że niewolno tak poniewierać istotą ludzką tylko dlatego, że jest uboga."

A potem charakteryzuje Weresajew proces psychologiczny, rozgrywający się w duszy młodego studenta. Dziś przeraża go problematyczność środków zalecanych, macanie na ślepo, zapisywanie lekarstw *ut aliquid fecisse videatur*; jutro wprawia go w zachwyt operacya szczęśliwa lub dyagnoza bystra i stara się chciwie wydrzeć tajemnicę naturze.

Lecz im dalej idzie, tem większy las pytań, tem większe zwątpienie o sobie. Student pędzi z kliniki do kliniki, z wykładu na wykład. Co krok nowe zjawisko i nowa zagadka. Poznaje, że nic nie rozumie, patrzy na rękoczyny profesorów, słucha objaśnień asystentów, lecz ilekroć samoistnie chce badać pacyenta, czuje się zupełnie bezsilnym. Chaos w głowie i męka wątpienia. Wreszcie zbliża się egzamin. Ach ten egzamin! Wymagano olbrzymiego zapasu wiadomości, z których przynajmniej trzy czwarte wyrzucało się z głowy zaraz po egzaminie, jako balast niepotrzebny. „Większości profesorów ich specyalność zasłania wszystko inne; dzielą oni przedmioty na ważne i nieważne, jedynie ze stanowiska swojej specyalności.. Jeszcze ważniejszą rzeczą było znać „kawały" każdego z egzaminatorów. Kto nie umiał owych „kawałków", ścinał się bezwarunkowo. Ulubionem pytaniem u jednego z profesorów było: U jakiego zwierzęcia przy stawieniu klizmy woda wychodzi ustami? Ten, kto mówił profesorowi chorób skórnych, że trąd jest zaraźliwy, otrzymywał stopień niedostateczny, takiż stopień stawiał profesor chirurgii ogólnej za odpowiedź, że trąd jest niezaraźliwy...

Dzięki temu zupełnie szkolnemu systemowi, egzaminy stają się szpetną i arcyniemądrą komedyą; zamiast wiadomości, prawdziwie niezbędnych każdemu lekarzowi, wymagają na egzaminach jakiejś chaotycznej mieszaniny, którą spamiętać można tylko... na egzamin.

(Dok. nast.)

109

Dla zemsty

powieść z czasów Ludwika XV.

E. Capendu.

TOM DRUGI.

— Dobrze! — rzekł hrabia, wstając. — Pan de Saint-Leu, oznajmi wam moje rozkazy.

Wyszedł.

La Morliere, la Brissault i Saint-Leu zostali sami.

— Kto u djabła jest ten człowiek? — spytał wreszcie la Morliere.

Saint-Leu zbliżył się z uśmiechem.

— Daję wam dobrą radę — rzekł do nich uprzejmie. — Spełniajcie co do joty rozkazy hrabiego. Wierzcie mi, to rada przyjacielska.

XXX.

Noc była ciemna. Nie można było nic rozróżnić na wybrzeżu la Feraillę, słychać było tylko szum niespokojnej Sekwany.

Jakiś człowiek szedł zwolna brzegiem rzeki. Otulony płaszczem, twarz zakrył kapeluszem. Zatrzymał się przy moście, potem się zwrócił, mówiąc do siebie:

— Montjoie umarł.,. ja go zabiłem! Ręka siedmastoletniego chłopca ukarała mordercę! Montjoie zabity, a nikt nie został, aby go pomścić! Któż mu pomagał w spełnieniu tej zbrodni? O! Montjoie nie był sam jeden! Dotąd mogłem wątpić, nie wiedziałem bowiem, w jaki sposób zbrodnia spełnioną została, ale teraz! B i C sprawdzili to dokładnie... Położenie szkieletu, sznurka...

Nieznajomy zatrzymał się.

— Nie, to niepodobna, aby jeden człowiek mógł w ten sposób zadusić kobietę, a krzyki i wcłania ofiary? a walka? owa straszna walka o życie, mimo nierównych sił między mordercą a ofiarą? A potem w kilka godzin wykopać dół, pogrzebać trupa, przygotować wapno, przyprowadzić nareszcie wszystko do porządku, zatrzeć ślady?... Niepodobna, aby jeden człowiek mógł to wszystko zrobić! Któż byli wspólnicy tego człowieka? Czy zależało komu na spełnieniu tej zbrodni? Jakiż związek między zabójstwem mojej matki, a zamachem na życie Sabiny?... O! Biedne kobiety! Ileż moja matka wycierpieć musiała, skoro jednej nocy włosy na głowie jej zbielały! Matka i narzeczona! Jednej nocy, 30 stycznia. O! data fatalna, tylko dwadzieścia lat różnicy! Ręka, która mają matkę zabiła, ukaraną została przezemnie. Któż mógł się targnąć na życie Sabiny i z jakiego powodu?

Nieznajomy przechadzał się nad brzegiem i głęboko rozmyślał, patrzał przed siebie. Nagle wzrok jego spoczął na jednym z domów przy ulicy de la Sonnerie. Wszystkie okna tam były ciemne:

— Matkę zamordowano, narzeczonę zraniono, ojca powieszono, oszczędzono tylko siostrę!

— I na nią przyjdzie kolej! — odezwał się jakiś ponury głos.

Gilbert, gdyż on to był, szybko się odwrócił. Człowiek jakiś przebiegł lotem błyskawicy wybrzeże i wskoczył do łódki. Znikł w ciemnościach. Gilbert szybkiem spojrzeniem objął wybrzeże. Wykrzyknął nagle z radością. Ujrzał drugą łódkę przybitą do brzegu. Wskoczył do niej. Niestety, dno spróchniałe wyleciało. Łódka poczęła się zanurzać, Gilbert wskoczył na brzeg.

— O! — zawołał z rozpaczą, — któż jest ten człowiek?

Stał bezsilny, wpatrując się nieruchomie w bałwany rzeki.

Nagle słabe pianie koguta rozległo się w dali.

Gilbert zadrżał. Ujrzał człowieka rzucającego się z mostu do wody.

Był to jeden z kogutów Gilberta.

ROZDZIAŁ XXXI.

Bale i uroczystości w teraźniejszym ratuszu nie są podobne do dawnych balów, tak jak obecny ratusz nie jest podobny do dawnego. Obecnie prefekt Paryża zamieszkuje ratusz, dawniej burmistrz. Z początkiem 1745 r. bale były bardzo liczne w Paryżu, gdyż 23 stycznia Delfin, syn Ludwika XV. ożenił się z infantką Maryą Teresą Antoniną Rafaelą, córką Filipa V i Elżbiety Farnése. Miasto, chcąc uczcić ten związek i dać dowód swego przywiązania królowi, którego „ukochanym“ nazywało, urządzało bale i uroczystości. Wszystkie cechy i korporacye krzątały się około tego, utrzymując na wyścigi karność i porządek. Mistrze, syndycy, urzędnicy, radcy, wszystko pomagało burmistrzowi ówczesnemu, Michałowi Turgot, który zajmował zaszczytne to stanowisko od 1729 r. Budowano sale naprędce, dziś na placu Vendome, jutro na placu des Victoires. Każda korporacya dopomagała w swoim dziale, cieśle budowali, tapicerze meblowali, fabrykanci porcelany pożyczali najpiękniejszych okazów, ogrodnicy najładniejszych kwiatów, słowem, wszyscy wspólnemi siłami ozdabiali sale. Tą łącznością doprowadzono do nieopisanego przepychu, na który żadna, książęca nawet fortuna, zdobyćby się nie mogła.

Bale te były rzeczywiście wspaniałe. Rozgłos ich był tak wielki, że doszedł uszu króla. Ludwik XV wyraził życzenie wzięcia udziału w zabawie, zaledwie jednak je objawił, zaczął żałować.

Ludwik XV nienawidził ceremoniału. Dziejopisarze, pisząc historyę, wielki popełniają błąd, nie zajmując się nigdy charakterem ludzi, pomijając ich stronę moralną wobec faktów dziejowych. Analizując charakter Ludwika XV, możnaby prawie wytłumaczyć wszystkie błędy jego panowania. Był przyjemny, miły, słodki, łagodny i bardzo wyrozumiały. Nigdy ostry wyraz nie wyszedł z ust jego. Jeżeli służba dworska błąd jaki popełniła, nie karał jej nigdy. Był nieśmiały, nie wierząc w samego siebie i nie mając silnej woli. Podczas wielkich ceremonii, wielkich przyjęć, mówił mało, obawiając się, aby czegoś źle nie powiedział, a w pierwszych latach jego prawdziwego panowania (to znaczy po śmierci kardynała Fleury), jego zakłopotanie było czasem tak wielkie, że nie umiał wypowiedzieć jednego zdania.

(C. d. n.)

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Platon Kostecki.

Z drukarni i litografii Pillera i Spółki